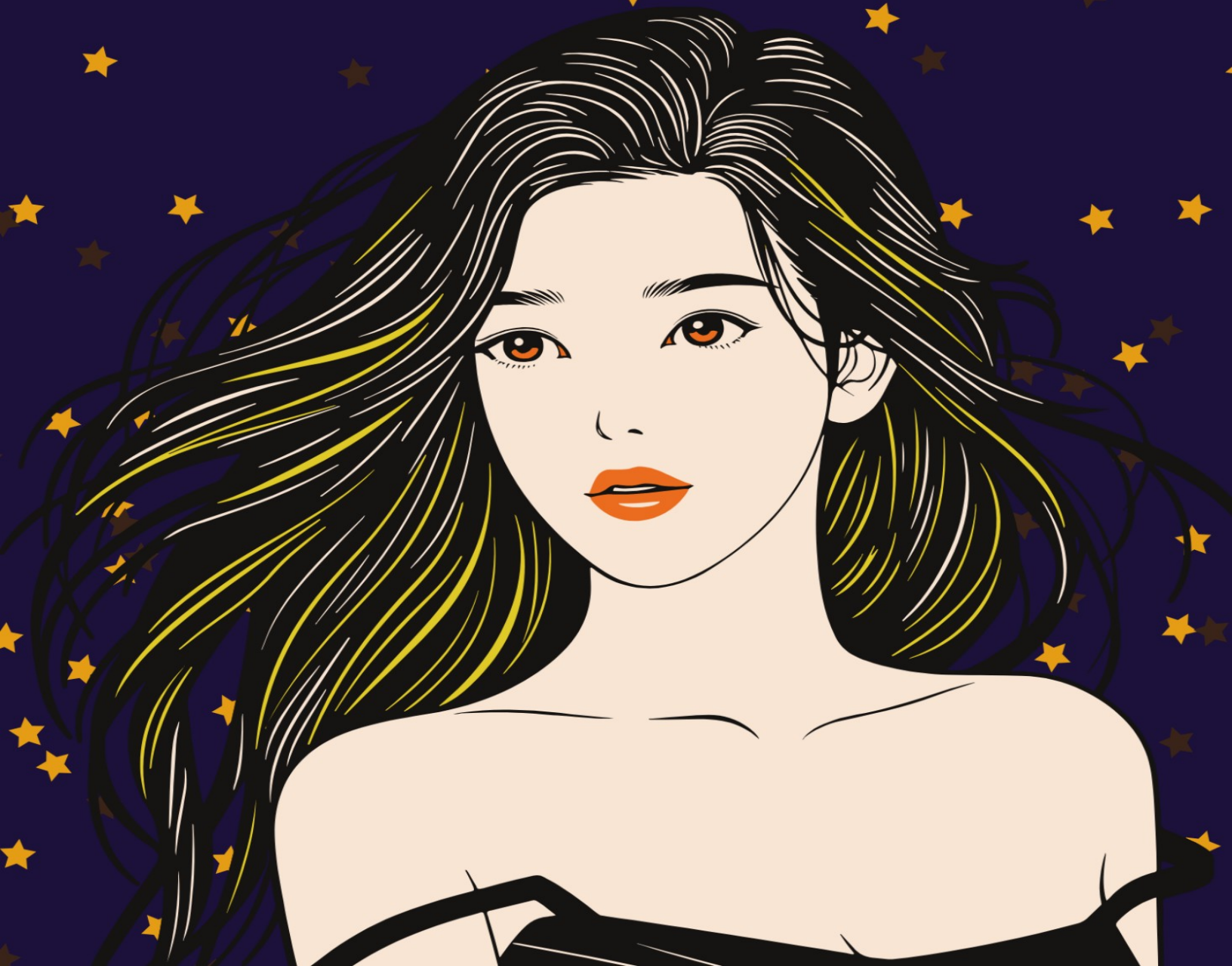


CHARLOTTE WILLOW

KRUCHE DZIEDZICTWO

TOM I TRYLOGII „CIENIE AMBICJI”



Tom I trylogii
„Cienie ambicji”

∞

Książkę tę dedykuję tym, którzy liczą kroki, wersy i błędy.

Informacje wydawnicze

Skład i redakcja: Karolina Dopierała

Autorka: Charlotte Willow (Karolina Dopierała)

ISBN: 9788384552148

Warszawa © 2026 Charlotte Willow

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żaden fragment tej publikacji nie może być powielany ani rozpowszechniany w żadnej formie i w żaden sposób bez uprzedniej pisemnej zgody autorki.

Wszystkie postacie i wydarzenia opisane w tej książce są fikcyjne. Jakikolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych, żyjących lub zmarłych, oraz autentycznych wydarzeń jest całkowicie przypadkowe.

www.marysue.pl

hello@marysue.pl

Rozdział 1 – Izolacja i pogarda

Pociąg zatrzymał się z szarpnięciem tak gwałtownym, że kilka walizek uderzyło o siebie jak zęby w zbyt chłodny poranek. Rose zacisnęła palce na skórzanej rączce swojej torby, pozwalając, by reszta przedziału wypadła na peron.

Na stacji było tylko mokre kamienne nabrzeże, krzywy zegar i tablica z nazwą miasteczka, z której farba odchodziła płatami – wystarczająco brzydkie powitanie, żeby nikt nie pomylił tego miejsca z czymś przyjemnym.

Zanim postawiła but na śliskiej płycie, sprawdziła jeszcze raz złożoną na pół kartkę z listą lektur, jakby istniała szansa, że przez lato kanon zmienił się na łagodniejszy.

Za jej plecami ktoś zawołał czyjeś imię, ktoś inny rzucił się w ramiona koleżance; Rose przesunęła się bokiem, żeby minąć innych uczniów z chłodnym „przepraszam”, które wcale nie znaczyło, że jest jej przykro.

St. Oswald's nie było dla niej szkołą – było biletem w jedną stronę, a biletów się nie marnuje.

Na parkingu pod stacją czekał szkolny autobus: stary, kremowo-zielony, z logiem szkoły wyblakłym do takiego stopnia, że lew na herbie wyglądał bardziej na zmęczonego psa. Kilku chłopców w identycznych płaszczach już zajęło miejsca z tyłu, hałasując i sądząc, że hałas był walutą, za którą można tutaj było coś kupić.

Rose usiadła w połowie, przy oknie, torbę cisnęła na wolne miejsce obok: skuteczniejsza bariera niż jakiegokolwiek słowa.

Krajobraz Suffolk przesunął się za szybą w rozmytych pasach: pola przecięte żywopłotami, samotne drzewa, gdzieś widoczne dachy domów przyklejonych do ziemi.

Deszcz nie padał mocno, bardziej przeciekał nieustannie z niskiego nieba, zostawiając na szybie cienkie smugi, które Rose śledziła tylko po to, żeby nie patrzeć na swoje odbicie.

Wyjęła z torby egzemplarz Horacego¹ – ten sam, w którym marginesy dawno przestały być marginesami, stając się gęstym zapisem cudzej, wyblakłej już goryczy. Kupiła go w antykwariacie już oznaczonego ołówkiem poprzedniej właścicielki – „Lily Hartwell”, jak głosił podpis na pierwszej stronie. A teraz z uporem prowadziła ten jednostronny dialog z nieznaną, nadpisując własne nadzieje na czyjeś stare, bezlitosne rozczarowania.

Otworzyła na wierszu, który znała już prawie na pamięć, i zaczęła liczyć wersy zamiast kilometrów dzielących ją od domu; wyszło jej, że do „szczęśliwy ten” wróciła od czerwca siedem razy. Jej matka twierdziła, że to nienormalne, ale matka liczyła normalność w innym rodzaju jednostek – w liczbie zaproszeń, ślubów, uśmiechów do ludzi, których imion Rose nie pamiętała.

Autobus podskoczył na dziurze, a książka przesunęła się na kolanach, odsłaniając róg listu z herbem szkoły.

„Uprzejmie informujemy, iż wytypowano panią do rozważenia wstępnej kandydatury do Cavendish Grant” – znała ten fragment na pamięć, tak jak znała kwotę, którą fundusz obejmował. Nie zapisała jej nigdzie, ale czuła ją w ciele jak gorączkę: budżet, który był ceną jej wolności, o ile tylko nie popełni błędu.

Kiedy autobus skręcił z głównej drogi w węższy, wyboisty trakt, rozmowy w środku przycichły tak, jak gdyby wszyscy naraz przypomnieli sobie, że jadą nie do przyjaciół, tylko do instytucji. Za szybą wyrósł las; gałęzie nachylały się nad drogą.

Pierwszy widok St. Oswald's pojawił się niespodziewanie – nagle, ciężki cień budynku na tle rozjaśniającego się horyzontu.

Gotyckie wieże, ciemny kamień mokry od deszczu, rząd identycznych okien, w których nie paliło się jeszcze światło – architektura tego miejsca zdawała się nie tyle zapraszać do środka, co rzucać wyzwanie każdemu, kto przekroczył jej próg.

Zamek, pomyślała, choć w broszurach uparcie nazywano to „kampusem”.

Rose złożyła listę lektur na pół, składając obietnicę; jeśli to miejsce ma ją połknąć, niech przynajmniej będzie najtrudniejszym kęsem, jaki St. Oswald's miał kiedykolwiek przegryźć.

*

Autobus zatrzymał się na żwirowym podejździe z takim skrzypnięciem hamulców, że Rose przez moment pomyślała, iż nawet maszyny protestują przeciwko temu miejscu. Drzwi otworzyły się, wpuszczając do środka przeciąg zimnego, wilgotnego powietrza, które pachniało mokrym kamieniem i czymś jeszcze – czymś ciężkim, jak kadzidło bez dymu. Uczniowie ruszyli tłumnie, formując spontaniczne, poszarzałe grupki mundurków; jak stada, które od razu wiedzą, gdzie jest ich miejsce.

Rose wysiadła jako jedna z ostatnich. St. Oswald's z bliska wyglądał jeszcze gorzej niż z autobusu: kamienne schody wytarte na środku od pokoleń stóp, mosiężna klamka przy głównych drzwiach wypolerowana do połysku przez dłonie ludzi, których nazwiska wisiały teraz na tablicach fundatorów. Spojrzała na te tablice tylko na sekundę. Wystarczyło, by dostrzec powtarzające się nazwiska, identyczne litery, te same herby.

St. Oswald's było miejscem, w którym genealogia miała większe znaczenie niż gramatyka.

*

W auli pachniało woskiem, starym drewnem i czymś, co Rose natychmiast zidentyfikowała jako kurz, którego nikt nie sprząta, bo stał się już częścią tradycji. Rzędy ławek wypełniały się szybko; szum głosów odbijał się od wysokiego sklepienia i wracał z lekkim opóźnieniem, dając wrażenie, że budynek brał każdą wypowiedź pod namysł. Rose usiadła w środkowym rzędzie, wystarczająco blisko katedry, by słyszeć każde słowo, i wystarczająco daleko, by nie rzucać się w oczy.

Na podium stał dyrektor – wysoki, w todze, z twarzą, na której uśmiech wyglądałby jak błąd drukarski. Przeglądał notatki, pozwalając, by szmer w sali powoli opadł. Rose otworzyła zeszyt, chociaż wiedziała, że przemówienie powitalne co roku brzmi tak samo; nie zamierzała marnować okazji do sprawdzenia, gdzie padają akcenty.

– St. Oswald's College – zaczął dyrektor – nie jest miejscem dla tych, którzy chcą po prostu ukończyć szkołę.

Pauza. Oczy prześlizgnęły się po sali. Rose poczuła, jak kilka spojrzeń zahacza o nią, ale żadne nie zatrzymało się na dłużej. Dobrze.

– Nie jesteśmy tu po to, by was wychowywać. Jesteśmy tu po to, by was sprawdzić.

Dopiero wtedy poczuła na sobie inne spojrzenie. Nie było nachalne; bardziej jak ostrzeżenie na marginesie tekstu. Podniosła wzrok, udając, że sprawdza, co jest nad tablicą. Zobaczyła go w trzecim rzędzie, lekko z boku.

Siedział niedbale, jakby ławka była zaprojektowana specjalnie pod jego kręgosłup. Mundurek miał zapięty nieprawidłowo – jeden guzik pominięty, krawat poluzowany; prawdopodobnie próbował pokazać, że nawet regulamin nie obowiązuje go do końca. Włosy miał nieco za długie jak na szkolne normy; reprezentował ten rodzaj niedbalstwa, na które stać tylko tych, których nazwiska widnieją na ścianach. Patrzył prosto na nią.

Rose zacisnęła usta i zorientowała się, że dyrektor mówi dalej:

– W tym roku po raz kolejny St. Oswald's ma zaszczyt wytypować *jednego* spośród was do Cavendish Grant.

Słowa ciężko spadły na salę, a potem zaczęły krążyć, wzmocnione szeptami. Rose słyszała pojedyncze urwane głosy: „Cavendish”, „Oxford”, „Cambridge”, „fundusz”. Dla niej to miało inną wagę: nie nazwę, tylko konkretną cyfrę, która stała między nią a powrotem do mieszkania, w którym nawet ściany wiedziały, ilu lat miała mieć, gdy wyjdzie za mąż.

Dyrektor kontynuował tonem człowieka, który nie musi podnosić głosu, by brzmieć groźnie:

– Cavendish Grant nie jest nagrodą za bycie utalentowanym. Talent to wymóg wstępny. To, co odróżnia laureata od reszty, to zdolność do poświęceń. Do rezygnacji.

Rose zanotowała w zeszycie jedno słowo: *poświęcenie*. Po chwili dopisała obok: „kogo?”.

Kiedy podniosła głowę, on wciąż na nią patrzył. Bez ciekawości, bez sympatii. Raczej z lekką, znudzoną oceną, jakby sprawdzał, czy plotki o „dziewczynie z prowincji, która dostała się na krótką listę Cavendish” rzeczywiście dotyczą jej. Przeniósł wzrok na jej zeszyt i

kącik jego ust drgnął; miał ochotę się zaśmiać, ale w ostatniej chwili z tego zrezygnował.

Dopiero wtedy ktoś szepnął za jej plecami:

– Whitby wrócił.

Nazwisko zawisło nad nią jak przeciąg. Znała je aż za dobrze – z tablic fundatorów, z listu o Cavendish i z tej jednej, suchej wzmianki w raporcie sprzed dwóch lat, w którym jej własne dane figurowały tuż pod jego inicjałami.

Nie obejrzała się. Zamiast tego jeszcze mocniej docisnęła długopis do papieru.

Dyrektor zaczął wyliczać zasady, regulaminy, punkty karne za spóźnienia, ale Rose już nie słuchała. Zamiast tego poczuła coś, czego nie lubiła nazywać: rodzaj zimnego prądu pod skórą, kiedy czytelnik dociera do pierwszego zdania książki, która ma go pochłonąć.

Whitby też znalazł się w jej notatkach: Cavendish Grant na szczycie strony, ich nazwiska gdzieś między wierszami.

*

Korytarz prowadzący z auli do skrzydła dormitoriów był zbyt wąski jak na tłum, który nim teraz płynął. Rozmowy, śmiechy, brzęk kluczy i metalowych identyfikatorów – wszystko mieszało się w jeden, mętny szum. Rose trzymała się prawej strony, licząc stopnie w górę zamiast ludzi wokół. Czterdzieści dwa do pierwszego zakrętu.

Na półpiętrze strumień uczniów nagle zwęził się do jednego przejścia. Rose uniosła wzrok i zrozumiała dlaczego. Na środku stał ktoś, kto nie miał zamiaru się przesunąć.

Matthew Whitby opierał się ramieniem o poręcz, robiąc ze schodów swój prywatny balkon. Reszta uczniów zwalniała przy nim odruchowo, lekko się pochylając, zerkając w górę; ktoś rzucił mu coś

półgłosem, ktoś się przywitał. Odpowiadał krótkim, leniwym uśmiechem. Tor stworzył się sam – niewidzialny, ale skuteczniejszy niż sznurki odgradzające wystawę.

Rose przez moment miała ochotę zawrócić do auli, przejść inną klatką schodową, znaleźć jakiś boczny korytarz.

Tylko że boczne korytarze były luksusem ludzi, którzy nie liczyli kroków do Cavendish Grant. Zaciśniętą dłonią poprawiła rączkę torby na ramieniu i weszła na kolejne stopnie.

Zobaczył ją, zanim do niego dotarła. Poznała to po drobnym przesunięciu ciężaru ciała, po tym, jak uniósł brwi o ułamek milimetra. Nie ruszył się.

Kiedy znalazła się naprzeciw niego, na tyle blisko, że mogła dostrzec nierówno zapięty guzik przy kołnierzyku, drogę w górę zasłaniał już tylko on. Za plecami Rose ktoś chrząknął niecierpliwie, ale nikt jej nie popchnął. St. Oswald's lubiło patrzeć.

– Przepraszam – powiedziała spokojnie.

Nie drgnął. Patrzył na nią tym samym spojrzeniem co w auli: jak na przypis, który ktoś śmie dopisać do jego tekstu.

– Rose – powiedział wreszcie powoli. – Zaskoczyłaś mnie. Już wyrwałaś się do zapisów?

Zawahała się tylko na tyle, żeby niczego nie zdradzić.

– Do jakich zapisów? – wzruszyła lekko ramionami.

– Listy kandydatów do Cavendish – odparł, jakby mówił o czymś oczywistym jak numer klasy. – Każdy tu wie, kto przyszedł z listem wstępnej rekomendacji.

Jego głos nie był ani zaczepny, ani przyjazny; brzmiał jak sucha analiza. Rose poczuła, że robi jej miejsce pod jednym warunkiem: że da się sklasyfikować.

– Zabawne – powiedziała. – Wydawało mi się, że stypendia przyznaje się za wyniki, nie za to, kto ma w szkole najlepszy wywiad środowiskowy.

Ktoś za jej plecami parsknął stłumionym śmiechem. Whitby nie spojrzał na źródło tego dźwięku. Wpatrywał się w Rose, testując, ile razy można ją uderzyć słowem, zanim pokaże cokolwiek poza uprzejmym chłodem.

– Wyniki? – powtórzył z lekkim zdziwieniem. – Och, jasne. Oczywiście. – Przechylił głowę. – Wybacz, ale może nie zauważyłaś: nazwiska na tablicy fundatorów to też wynik. Wielopokoleniowy.

– Twój – odparła powoli – jest imponujący. Zwłaszcza w dziedzinie zawłaszczania przestrzeni publicznej.

Przez sekundę jego usta wygięły się w coś, co mogło być uśmiechem, gdyby nie to, że nie dotarło do oczu.

– Proszę – przesunął się w końcu dokładnie o szerokość jednego stopnia, ledwie symbolicznie, wskazując ręką drogę. – Skoro ten bilet jest w jedną stronę, nie chciałbym opóźniać tej podróży.

To słowo – „bilet” – zatrzymało ją na ułamek sekundy. Nie miała pojęcia, czy to przypadek, podsłuchane echo jej własnej myśli z peronu czy może pamiętał tamtą rozmowę sprzed kilku lat. Minęła go bez słowa, czując na karku zimne spojrzenie aż do kolejnego zakrętu.

Kiedy zniknął jej z pola widzenia, poczuła, że dłonie ma lekko wilgotne.

Rozdział 2 – Mechanizmy

Pokój w skrzydle dziewcząt był zbyt jasny jak na nastrój Rose. Dwie duże, niemal identyczne szafy, dwa biurka ustawione pod ścianą, dwa łóżka rozdzielone wąskim paskiem wykładziny – wszystko w beżach i wypranej z koloru zieleni, jakby ktoś specjalnie dobrał barwy pod przekonanie, że emocje są zbędne. Jedyнным akcentem, który temu przeczył, była Caroline.

Stała na swoim łóżku w samych skarpetkach i t-shircie, próbując przyczepić do ściany zdjęcia z ostatnich wakacji. Śmiała się, bo taśma ciągle odpadała. Na kołdrze wokół niej leżały rozrzucone magazyny, kasety, kolorowe spinki do włosów i katalog z sukienkami, który ktoś już dawno powinien był wyrzucić.

Gdy Rose weszła, Caroline odwróciła się natychmiast; czekała na ten dźwięk klamki od kilku godzin.

– Nareszcie! – zeskoczyła z łóżka, nie zważając na to, że jedno ze zdjęć od razu spadło. – Myślałam, że cię porwali po drodze i oddali do jakiejś poważniejszej szkoły.

Przytuliła ją tak mocno, że Rose na sekundę straciła dech. Caroline pachniała tym samym tanim jabłkowym dezodorantem co zawsze i lakierem do włosów, który nie miał zbyt wiele wspólnego z regulaminem St. Oswald's. Rose odwzajemniła uścisk, ale mniej entuzjastycznie. Zauważyła to po sekundowym zawahaniu Caroline; po tym, jak jej ręce na moment osłabły, zanim znowu nabrały energii.

– Pociąg był opóźniony – powiedziała Rose, wzruszając ramionami. – I było przemówienie w auli.

– Wiem, słyszałam, że nudne jak zawsze. Ojciec uparł się, że mnie podwiezie, bo „mamy po drodze”, co w jego języku oznaczało dwie godziny spóźnienia i kłótnię o to, czy powinnam zabrać ze sobą

dodatkowy kufer butów. Wpadłam do szkoły, kiedy dyrektor kończył już te swoje smęty o „sprawdzaniu nas”. Próbowałam cię namierzyć w tym tłumie, ale ty zawsze siadasz tak, żeby nikt cię nie widział. – Caroline machnęła ręką. – Wreszcie jesteś. Mam ci tyle do opowiedzenia, że chyba będę musiała mówić przez sen, żeby się wyrobić do końca semestru.

Usiadła na swoim łóżku i klepnęła dłonią miejsce obok. Rose odłożyła torbę pod ścianę, poprawnie, równiej niż było trzeba. Ten ruch zajął jej ułamek sekundy dłużej, niż powinien – kupowała sobie czas.

– Jak było u ciebie? – spytała, siadając na brzegu łóżka Caroline. – Po egzaminach?

– Nudno. – Caroline przewróciła oczami. – Mama wyjechała do siostry, ojciec pracował, a ja utknęłam na przyjęciach, gdzie wszyscy pytali, czy „ta twoja koleżanka z internatu też przyjedzie”. – Zrobiła cienki głosik naśladujący ciotkę. – Serio, Rose, gdybyś wiedziała, ile razy słyszałam twoje imię wypowiedane tonem, jakbyś była egzotycznym zwierzątkiem.

Rose skrzywiła się lekko.

– Przykro mi.

– Nie bądź śmieszna. – Caroline parsknęła. – Dzięki tobie przynajmniej miałam czym się chwalić. „Moja przyjaciółka dostała się na listę Cavendish Grant” – przeciągnęła słowa teatralnie. – Gdybyś widziała ich miny. Jakbym co najmniej zadawała się z rodziną książęcą.

W pokoju na chwilę zapadła cisza, w której słyhać było tylko stłumione głosy z korytarza i trzask drzwi w sąsiednim dormitorium. Rose poczuła, jak słowo „przyjaciółka” kładzie się między nimi ciężiej

niż wszystkie walizki, które dziś dźwigała. Nie była pewna, czy ma jeszcze prawo je nosić.

– To jeszcze nic – ciągnęła Caroline, nie zauważając jej milczenia.

– Widziałam listę. Zgadnij, kto jeszcze się na niej znajduje.

– Domyślam się – powiedziała Rose. – Tablice fundatorów dziś do mnie przemówiły.

Caroline roześmiała się od razu.

– Victor Ashby, Olivia Taylor. Oraz Matt Whitby – wyliczyła z satysfakcją. – Mówiłam ci, że to się tak skończy. Oni zawsze są na każdej liście. Urodzeni finaliści. Najpierw jego brat, teraz on. To jak tradycja rodzinna, zaraz obok polowań na lisy i unikania podatków.

Rose w myślach poprawiła słowa współlokatorki: urodzeni uczestnicy, nie *finaliści*.

Finalistą może zostać tylko jedna osoba.

Na głos powiedziała tylko:

– Widziałam go.

Caroline natychmiast pochyliła się bliżej.

– I? – Jej oczy błyszczały jak wtedy, gdy w zeszłym roku podsłuchiwały rozmowę prefektów za drzwiami gabinetu. – Jest tak okropny, jak kiedyś, czy gorzej?

Obraz Whitby'ego na schodach pojawił się w głowie Rose aż nazbyt wyraźnie: guzik, którego nie zapiął, krawat, który nie spełniał żadnej funkcji poza demonstrowaniem pogardy dla zasad, to jedno słowo „bilet”, rzucone mimochodem i trafiające dokładnie tam, gdzie nie powinno. Mogłaby powiedzieć Caroline prawdę. Zamiast tego poszła w coś, co było bezpieczniejsze.

– Jest... przewidywalny – stwierdziła. – Dokładnie taki, jakiego się go spodziewasz, kiedy widzisz nazwisko wryte w mosiądzu. Zbyt

pewny siebie, zbyt głośny, zbyt...

– Przystojny? – podpowiedziała Caroline z uśmiechem.

Rose zawahała się tylko przez moment.

– Zbyt przyzwyczajony do tego, że wszyscy na niego patrzą – zakończyła. – To wystarczająco niebezpieczne.

Caroline przewróciła oczami.

– Och, Rose. Ty naprawdę potrafisz zabić każdy romantyczny wątek w zarodku. – Wstała z łóżka i podeszła do jej jeszcze nie rozpakowanej torby. – A propos zabijania: jeśli jeszcze raz zobaczę cię w tej samej spódnicy od mundurka co w zeszłym roku, to osobiście zaduszę cię krawatem Whitby’ego. Pokaż, co przywiozłaś.

Rose odruchowo przesunęła torbę bliżej siebie.

– Tylko książki. I notatki. – Ugryzła się w język, zanim dodała „jak zwykle”.

– Wiem. – Caroline uśmiechnęła się, ale w jej głosie pojawił się cień czegoś, czego Rose nie potrafiła nazwać – zawodu? Znużenia? – Dlatego właśnie cię lubię. – Zawiesiła głos. – Ale w tym roku naprawdę musisz czasem wyjść z pokoju. Nie zamierzam spędzać ostatniego roku w St. Oswald’s, patrząc, jak moja najlepsza koleżanka zamienia się w przypis do bibliotecznego katalogu.

Rose poczuła ukłucie winy, tak nagłe i dotkliwe, jakby ktoś wcisnął palec prosto w ranę, którą starała się ignorować. Caroline mówiła „moja”, „najlepsza”, „koleżanka” z taką łatwością, że te słowa w jej ustach nic nie znaczyły. Dla Rose znaczyły wszystko, a równocześnie były luksusem, na który nie była pewna, czy może sobie pozwolić.

– Zobaczmy – powiedziała cicho. – W tym roku mam więcej obowiązków. Wolontariat, biblioteka... ten cały „program zaangażowania”, żeby w ogóle móc się liczyć przy Cavendish.

Caroline parsknęła.

– „Zaangażowanie”. Uwielbiam, jak potrafią ubrać wykorzystywanie uczniów w ładne słowa. – Podeszła do okna, rozsunęła ciężkie zasłony. – Ale dobrze. Będiesz panią od biblioteki, ja będę panią od imprez. Jakoś się podzielimy opieką nad tym nieszczęsnym rocznikiem.

Odwróciła się z szerokim uśmiechem, oczekując, że Rose odwzajemni żart. Rose próbowała. Udało jej się unieść kąciki ust. Nie była pewna, czy to wystarczy.

Wiedziała tylko jedno: im bardziej Caroline podskakiwała na falach szkolnego życia, tym mocniej Rose wbijała się w dno, licząc każdy stopień, każdy punkt, każdy procent. I im dalej wchodziła w ten rok, tym wyraźniej czuła, że nie mogą już płynąć w tym samym tempie, choć wciąż siedzą w tym samym pokoju.

*

Sekretariat St. Oswald's od zawsze był miejscem, w którym papier ma większe prawa niż ludzie. Ściany zastawione metalowymi szafkami, segregatory ułożone alfabetycznie według nazwisk, powietrze ciężkie od zapachu tonera i herbaty, która dawno wystygła. Rose stanęła w kolejce do biurka, trzymając w dłoni kopertę ze swoimi dokumentami jak przepustkę do czegoś, na co jeszcze nie miała nazwy.

– Następny – rzuciła sekretarka, nie podnosząc wzroku znad stosu formularzy.

Była to ta sama pracownica, co zawsze: w średnim wieku, z ciasno upiętymi włosami i okularami na łańcuszku. Rose miała wrażenie, że kobieta nie starzeje się, tylko żółknie jak kartka, na której co roku dopisuje nowe nazwiska.

– Rose Hartley – powiedziała, podając kopertę.

Sekretarka otworzyła ją jednym, wprawnym ruchem. Przeleciała wzrokiem po papierach, zatrzymała się na czymś na dłużej, zmrużyła oczy.

– Hartley... – mruknęła. – Tak, mamy panią.

Rose wychwyciła to „mamy” – bezosobowe, instytucjonalne. Tutaj nie była osobą, tylko teczką.

– Zakwaterowanie bez zmian. – Sekretarka odhaczyła coś na liście.

– Grupa tutorialowa taka jak w zeszłym roku. I... – sięgnęła po inny plik kartek – przydział do programu zaangażowania społecznościowego.

Podala Rose cienki formularz, na którym drukowanymi literami widniał nagłówek: „Wolontariat – Biblioteka i Archiwum”. Pod spodem, w rubryce „Przydział pary roboczej”, ktoś wpisał dwa nazwiska ręcznie, piórem, starannym, równym pismem.

Rose przeczytała swoje imię, a obok niego: Victor Ashby.

Jej przeciwnik w drodze po grant.

– Jakiś problem? – spytała sekretarka, widząc, że Rose nie od razu oddaje formularz.

– Nie – odparła szybko. – Po prostu... nie kojarzę, żebyśmy byli w tej samej grupie.

– Bo nie jesteście. – Kobieta wzruszyła ramionami. – Ashby jest o rok wyżej, ale ma zaległy komponent z biblioteki. – Sięgnęła po długopis i postawiła krzyżyk w rubryce „przyjęte do wiadomości”. – Proszę się stawić w archiwum dziś o siedemnastej. Punktualnie. Profesor Llewellyn nie lubi, gdy ktoś spóźnia się na „przywilej obcowania z historią szkoły”.

W jej tonie „przywilej” brzmiało jak kara. Rose skinęła głową.

– Rozumiem.

Kiedy odsunęła się od biurka, prawie wpadła na Caroline, która najwyraźniej uznała, że korytarz na tyłach sekretariatu to dobre miejsce do zaczajenia się.

– No i? – Caroline dosłownie wcisnęła się jej w drogę. – Powiedz, że dali ci coś sensownego. Nie będziesz sprzątać stołówek, prawda?

– Biblioteka i archiwum – odpowiedziała Rose, podając jej formularz.

Caroline przejechała wzrokiem po nagłówku i skrzywiła się.

– Oczywiście. – Oddała kartkę. – Gdzieżby indziej mogli cię wsadzić.

– Zawsze można liczyć książki – odparła Rose. – One też się liczą do zaangażowania.

– Tylko że książki cię nie zaproszą na Bal w Cavendish Hall – rzuciła Caroline, ale w jej głosie było więcej troski niż złośliwości. – Victor Ashby... – mruknęła z uśmiechem. – Cichy. Porządny. Z tych, którzy nigdy nie łapią szlabanów, bo już sam fakt, że żyją według regulaminu, jest dla szkoły wystarczającą nagrodą.

– Brzmi... bezpiecznie – skomentowała Rose, chociaż „bezpiecznie” nie było słowem, którego szukała na ten rok.

Caroline spojrzała na zegar wiszący nad drzwiami sekretariatu.

– Masz jeszcze dwie godziny do tego twojego „przywileju obcowania z historią”. – Uśmiechnęła się szeroko. – Idealnie, żeby wpaść na spotkanie do pokoju wspólnego. Podobno ktoś przemycił prawdziwe wino. Musisz pokazać się ludziom, zanim całkiem wsiąkniesz w kurz i katalogi.

– Caroline... – zaczęła Rose.

– Nie mów „nie” od razu – przerwała jej przyjaciółka. – Pół godziny. Obiecuję, żadnych gier w butelkę, żadnych dziwnych pytań. Tylko trochę muzyki, kilka głupich opowieści z wakacji, możesz nawet zabrać Horacego, jeśli chcesz i będziemy udawać, że to dyskusyjny klub literacki.

Teoretycznie mogła się zgodzić. Pół godziny to nie jest dużo. Pół godziny to kilka stron, kilka linijek notatek, jeden przykład interpretacji wiersza. W praktyce była to różnica między wejściem do archiwum z głową już zanurzoną w zadaniu, a wejściem tam z resztkami śmiechu i wina.

– Jeśli spóźnię się na pierwsze spotkanie, profesor Llewellyn zapamięta to na cały rok – powiedziała w końcu. – A ja nie mogę sobie pozwolić na to, żeby ktoś tu zapamiętał mnie z tego powodu.

Caroline westchnęła teatralnie.

– Ty i twoja reputacja. – Pokręciła głową, ale bez prawdziwego gniewu. – Dobrze. Idź do swoich duchów z archiwum. Ale przysięgnij, że przyjdiesz jutro. Po zajęciach z łaciny. Zrobimy małą inaugurację roku. Nawet możesz mi wytłumaczyć, co jest fajnego w tym całym Horacym.

Rose zawahała się. „Przysięgnij” to było mocne słowo. Za mocne jak na coś, co w jej głowie przegrywało właśnie z Cavendish Grant w każdym możliwym zestawieniu.

– Zobaczę, jak będzie z grafikami – odpowiedziała wymijająco.

Caroline odsunęła się w końcu z jej drogi, unosząc ręce w geście kapitulacji.

– Kiedyś to wszystko napiszesz w jakimś swoim nudnym dzienniku – mruknęła z uśmiechem. – A ja będę tą kolorową postacią z tła, którą wszyscy lubią, ale mówią „szkoda, że tak mało jej w tej książce”.

– Nie sędę, żebyś była tłem – powiedziała Rose szczerze.

Caroline nie uwierzyła, ale uśmiechnęła się, jakby uwierzyć chciała.

Kiedy Rose wychodziła z sekretariatu, ścisnęła formularz tak mocno, że kartka lekko się pocięła. Victor Ashby. Archiwum. Siedemnasta. Czuła, że to właśnie ta linijka, a nie wino w pokoju wspólnym, będzie miała znaczenie w rubryce „wyniki” na koniec roku.

A w St. Oswald’s wyniki zapisywało się na marmurze.

*

Wejście do podziemi biblioteki było łatwe do przeoczenia. Wciśnięte między regał z encyklopediami a tablicę ogłoszeń, wyglądało bardziej jak drzwi do schowka na wiadra niż jak brama do „serca tradycji St. Oswald’s”, jak napisał kiedyś w broszurze któryś z nadgorliwych absolwentów. Wąskie, ciężkie, obite ciemnym drewnem. Klamka była chłodna nawet przez materiał rękawiczki.

Rose przyszła pięć minut przed czasem. Z przyzwyczajenia.

Przez chwilę myślała, że będzie pierwsza. Dopiero gdy podeszła bliżej, zauważyła, że ktoś już tam stoi. Oparty plecami o ścianę, z rękami schowanymi w kieszeniach marynarki, z pochyloną głową. Wyglądał tak spokojnie, że niemal wtopił się w kamień.

Victor Ashby podniósł wzrok, dopiero gdy odgłos jej kroków odbił się od posadzki.

– Rose Hartley? – upewnił się, chociaż była pewna, że *wie*.

Skinęła głową.

– Victor – powiedział. – Będziemy razem w archiwum.

Mówił spokojnie, tonem, którym stwierdza się fakty, a nie zawiera znajomości.

– Jesteś wcześniej – dodał po chwili.

– Tak wolę – odpowiedziała. – Spóźnianie się źle wygląda na papierze.

Kącik jego ust poruszył się minimalnie.

– W tej szkole atrament jest ważniejszy od prawdy – stwierdził. – To dobre miejsce dla kogoś, kto dba o rubryki.

Dopiero teraz Rose zauważyła drobne zacieki atramentu na mankiecie jego koszuli. Krawat miał zawiązany równo, guziki zapięte; jedynym „bałaganem” był tusz, jak ślad po tym, że częściej trzyma pióro niż papierosa.

– Byłaś już kiedyś w archiwum? – spytał.

– Nie – przyznała. – Tylko w zwykłej części biblioteki.

– To dobrze. – Sięgnął do kieszeni po klucz. – Ludzie, którzy przychodzą tu zbyt często, zaczynają mówić o „duszy szkoły”.

Usłyszała w tym nie kpinę, tylko lekką ironię skierowaną raczej przeciwko budynkowi niż przeciwko niej. To była ulga.

Otworzył drzwi. Z wnętrza uderzyło w nich chłodne powietrze, pachnące kurzem, starym papierem i wilgocią kamiennych ścian. Schody w dół były wąskie, stopnie starte nierównomiernie.

– Najpierw schody – powiedział cicho. – Potem katalog. Potem się człowiek przyzwyczaja.

Zeszli w milczeniu. Rose liczyła stopnie, jak zawsze. Dwadzieścia trzy. Na dwudziestym czuła już, że temperatura spadła o kilka stopni. Po obu stronach korytarza za schodami ciągnęły się rzędy drzwi, ale Victor minął je bez słowa.

– To tutaj. – Zatrzymał się przy drzwiach z małą tabliczką „Archiwum – wstęp za pozwoleniem”. – Llewellyn pewnie zaraz przyjdzie. Na razie tylko wejdziemy.

W środku panował półmrok. Okna, jeśli tu w ogóle były, musiały znajdować się gdzieś wysoko, na dnie głębokich, kamiennych wnęk; w tej chwili wpuszczały do środka jedynie blade, przefiltrowane przez brud smugi, które ledwo radziły sobie z mrokiem. Większość pracy i tak wykonywały lampy biurkowe, ustawione na długim stole, który wyglądał jak ołtarz położony w poprzek pomieszczenia. Wzdłuż ścian piętrzyły się metalowe regały z kartonowymi pudłami, każde opisane datą i suchym skrótami.

– Możesz zostawić rzeczy tutaj. – Victor wskazał krzesło przy najbliższym biurku. – W archiwum nie wolno jeść, pić ani oddychać za głośno.

Popatrzyła na niego z ukosa, zastanawiając się, czy mówi poważnie. Znów ten minimalny ruch ust.

– Żartuję – dodał, zanim zdążyła zapytać dla pewności. – Z oddychaniem.

Odłożyła torbę, wyjęła zeszyt i długopis. Nie wiedziała jeszcze, czego będzie potrzebować, ale czuła się bez nich naga.

Przez chwilę stali obok siebie, nie bardzo wiedząc, co zrobić z rękami. W tym momencie do archiwum weszła profesor Llewellyn – wysoka kobieta po pięćdziesiątce, w szarym swetrze i spódnicy w kratę. Rzuciła na nich krótkie spojrzenie.

– Hartley. Ashby. – Skinęła głową. – Dobrze. Zaczniemy od najprostszej rzeczy, która i tak was przerośnie. Porządkowanie.

Wydała kilka suchych poleceń, wskazała półki, których mieli dotykać, i te, których dotykać im nie wolno. Kiedy wyszła, zostali sami z pudłami opisanymi datami, które były dla szkoły czymś w rodzaju kręgosłupa.

Przez pierwsze minuty pracowali bez słowa. Rose podawała pudła, Victor stawiał je na wózku, potem zamieniali się rolami. Powietrze wypełniał tylko szelest papieru i odległy pomruk instalacji grzewczej.

To była cisza inna niż ta w pokoju z Caroline. Tamta była napięciem, niewypowiedzianą prośbą, żeby Rose choć na chwilę przestała planować swoją ucieczkę. Tutaj cisza nie domagała się niczego.

– Twoje pismo jest czytelne – odezwał się w końcu Victor, odkładając kartę, na której przed chwilą coś zanotowała.

Spojrzała na niego z lekkim zaskoczeniem. Spodziewała się uwagi o tym, jak szybko pracuje, albo pytania, czemu tak się spieszy. Zamiast tego dostała obserwację pozbawioną oceny.

– To komplement? – zapytała ostrożnie.

Zastanowił się, zanim odpowiedział.

– To stwierdzenie – powiedział w końcu. – Ale jeśli chcesz, możesz potraktować je jak komplement. Archiwa lubią rzeczy, które można odczytać po dwudziestu latach.

Milczała przez chwilę, przenosząc kolejne teczki. W jego głosie nie było ani drwiny, ani podziwu. Było coś, czego nie umiała rozpoznać – może zwykła uwaga, może początek szacunku.

– Twoje też – odparła po chwili, wskazując na etykiety, które wypisywał na nowych pudłach. Litery równe, bez zbędnych ozdóbek.

Wzruszył ramionami.

– Mój ojciec twierdzi, że to jedyna rzecz, jaką robię starannie – mruknął. – Więc przynajmniej archiwum będzie zadowolone.

Nie dopytywała. Normalnie wykorzystałaby taką szczelinę, żeby zajrzeć głębiej w czyjąś historię, zassać informacje jak tlen. Teraz po

prostu przyjęła to do wiadomości. Jak notatkę na marginesie.

Pracowali dalej. Co jakiś czas ich dłonie spotykały się nad tym samym pudłem; wtedy jedno z nich cofało się odruchowo. Żadnych nerwowych żartów, żadnych wyścigów, kto przeniesie więcej. Tylko rytm: sięgnij, przesun, odłóż, zapisz.

Po godzinie Rose zorientowała się, że pierwszy raz od przyjazdu nie myśli o Whitby, Cavendish Grant ani o tym, ile procent brakuje jej do bezpieczeństwa. Myślała o datach na pudłach, o równych literach na etykietach, o tym, że ktoś tu kiedyś uznał rok 1976 za na tyle ważny, by dostał osobną skrzynię.

Victor odsunął się od regału, strzepując kurz z rękawa.

– Na pierwszy dzień wystarczy – powiedział cicho. – Jeśli będziemy tak pracować, profesor Llewellyn będzie naszym najmniejszym zmartwieniem.

– A co będzie największym? – zapytała, bardziej z przyzwyczajenia niż z ciekawości.

Spojrzał na rząd pudeł z datami, których jeszcze nie dotknęli.

– To, co jest w środku – odpowiedział.

Powiedział to spokojnie, bez dramatyzowania. Jak ktoś, kto wie, że archiwa nie są tylko zbiorem papierów, ale magazynem cudzych błędów.

Rose po raz pierwszy pomyślała, że może dobrze, iż nie trafiła tu sama.

*

Victor wyszedł z biblioteki jako ostatni. Światło w czytelnicy już przygaszono, w oknach odbijały się tylko sylwetki regałów i kontury lamp. Korytarz prowadzący do wyjścia był pusty; większość uczniów

dawno przeniosła się do jadalni albo pokoiów wspólnych. On skręcił w stronę ogrodu.

Dziedziniec o tej porze należał do kamienia i chłodu. Wilgoć wsiąkała w mundur, powietrze pachniało mokrą trawą i dymem, który nie miał jeszcze źródła. Dopiero po chwili Victor dostrzegł w półcieniu punkt żaru, unoszący się i opadający jak mała, uparta gwiazda.

Matt siedział na murku przy żywopłocie, plecami oparty o kamienny filar, z nogą nonszalancko wyciągniętą na żwir. W jednej ręce trzymał papierosa, w drugiej zmiętolony kawałek papieru, który co jakiś czas składał i rozkładał.

– Ashby – rzucił, nie odrywając wzroku od nieba. – Jak na człowieka, który nie mieszka w bibliotece, wychodzisz z niej podejrzenie późno.

Victor zatrzymał się kilka kroków od niego.

– Jak na człowieka, który ma milion rzeczy do stracenia, palisz w miejscu oświetlonym z trzech stron – odparł spokojnie. – Strażnik nie jest ślepy.

Matt uśmiechnął się krótko.

– Strażnik widzi to, co mu każą widzieć.

Strzepnął popiół na żwir.

– Siedziała z tobą – dodał po chwili, jakby zmieniał temat, choć obaj wiedzieli, że tego właśnie dotyczy rozmowa. – Hartley.

Victor oparł się o filar po drugiej stronie wejścia, tak, żeby wyglądało to jak przypadek. Ręce wsunął do kieszeni, żeby nie było widać, że ma je lekko zmarznięte.

– Pracujemy razem w archiwum – odparł. – Regulamin. Program zaangażowania.

– Oczywiście. – Matt prychnął. – Nawet wyzysk brzmi tu jak zaszczyt.

Milczeli przez chwilę. Victor przyglądał się dymowi unoszącemu się z papierosa. Rozmywał się tak szybko, że trudno było uwierzyć, iż kilka godzin wcześniej w tej samej szkole ktoś debatował o nieuchronności losu.

– Dalej jest taką męczennicą nauki jak dwa lata temu? – zapytał Matt w końcu. – Czy to tylko etap przejściowy do zostania dyrektorką biblioteki?

Victor spojrzał na niego uważnie.

– To nie jest męczeństwo – powiedział cicho. – Ona po prostu wie, co chce dostać w zamian.

Matt parsknął, ale bez wesołości.

– Wszyscy wiemy, czego chcemy: stypendium, nazwiska, święty spokój. Różnica polega na tym, kto będzie płakał, jak tego nie dostanie.

– Ona nie będzie płakać – odparł Victor. – Złamie się w środku i nikt tego nie zobaczy. To gorsze.

Matt odwrócił wreszcie głowę. Ich spojrzenia spotkały się na chwilę bez masek, które obaj tak uparcie zakładali przy innych.

– Mówisz to z troską – zauważył.

– Mówię to, bo od lat widzę, jak pracuje – odpowiedział Victor. – Ty też widzisz. Tylko udajesz, że cię to nie obchodzi.

Matt zaciągnął się głęboko, aż żar na końcu papierosa zapłonął jaśniej.

– Ona ma ambicję – stwierdził. – Ja mam ultimatum.

Zmiętolony papier w jego dłoni zadrżał. Victor dostrzegł na nim nagłówek listu – herb Whitbych.

– Ojciec? – zapytał, choć znał odpowiedź.

Matt roześmiał się krótko, sucho.

– Kto inny? – Wyprostował palce, pozwalając, by kartka na moment się rozwinęła. – „Jeśli w tym roku nie pokażesz, że potrafisz utrzymać standard Whitbych, musimy przemyśleć strukturę dziedziczenia”. – Zacytował tonem, który miał być obojętny. – Ładnie, prawda? Prawie jak cytat z tragedii.

Victor nie uśmiechnął się.

– To nie jest tragedia – powiedział. – To szantaż.

– W tej szkole nie rozróżniają – Matt wzruszył ramionami. – Jedno i drugie wygląda dobrze w marmurze.

Victor odsunął się od filaru o krok.

– Pytasz o Rose – zaczął powoli. – Więc ci powiem. Ma więcej determinacji niż ty. Nie więcej talentu czy szczęścia. Więcej determinacji. I mniej do stracenia.

Słowa zawisły między nimi. Matt przez moment milczał, potem zgasił papierosa o kamień i wrzucił niedopałek do pobliskiego kosza – ten jeden gest wykonywał zawsze poprawnie.

– Wiem – powiedział Matt. Żar papierosa rozbłysnął w ciemności. – Ojciec przysłał krótki list. Podobno dyrektor „wspomniał”, że w tym roku konkurencja jest wyjątkowo wyrównana.

Victor zmarszczył brwi, opierając się o ramię statuy.

– Wyrównana?

– To kod, Ashby. Zawsze łatwiej kazać komuś wygrać, kiedy wskazuje mu się konkretną twarz, którą ma pokonać. – Matt spojrzał w stronę ciemnych okien biblioteki. – Dostałem ostrzeżenie: jeśli Cavendish pójdzie do Hartley, nazwisko Whitby przestanie być dla mojego ojca inwestycją. A on nie lubi stratnych interesów.

W jego głosie nie było patosu, tylko chłodne zmęczenie.

– I co z tym zrobisz? – zapytał Victor.

Matt wzruszył ramionami; tym razem ruch był ciężki, jakby mundurek ważył tonę.

– To co zawsze – odparł. – Będę grał swoją rolę, dopóki kurtyna nie spadnie. Ty też jesteś na tej liście, komisja cię ceni, a mimo tego mój ojciec cię nie widzi. Dla niego jesteś częścią umeblowania tej szkoły. Prawdziwa walka toczy się między błękitną krwią a kimś, kto śmiał wejść na nasz teren bez zaproszenia.

Spojrzał na Victora ostrzej:

– Jesteś tym, który patrzy, Ashby. Tym, który wie, co dzieje się za kulisami. Nie udawaj, że nie widzisz, jak oni nas tu tresują.

Victor przez chwilę milczał.

– Widzę – przyznał w końcu. – I właśnie dlatego ci mówię: ona nie jest tu po to, żeby być pionkiem w twojej rodzinnej wojnie. Jest tu po to, żeby wygrać swoją.

Matt skrzywił się, ale nie zaprzeczył.

– Zobaczymy. Los kocha takich ludzi.

– Los nie ma z tym nic wspólnego – odparł Victor.

Odwrócił się i ruszył w stronę internatu. Czuł na plecach spojrzenie Matta, ciężkie jak deszcz, który zaraz miał spaść. Jeśli w St. Oswald's istniała jakaś lojalność, to właśnie taka: lojalność cieni, które widziały, jak aktorzy psują się na scenie, a mimo to zostawały na widowni.

Notatki

[←1]

Horacy (łac. Horatius), właściwie Kwintus Horacjusz Flakkus